



Okres Bożego Narodzenia nie bez powodu uważany jest za czarowny: nawet najbardziej prozaiczne momenty życia mogą zamienić się w spotkanie z Bogiem. Tak na przykład przygotowanie posiłku na stół wigilijny staje się wspomnieniem dwunastu pokoleń Izraela, czekających na przyjście Zbawiciela, lub uświadomieniem sobie, że każda wieczerza (zwłaszcza ta, zwana Liturgią) oparta jest na fundamencie z dwunastu apostoelskich kamieni. Hi storia, którą dzisiaj opowiem, miała miejsce mniej więcej trzynaście lat temu. Dzięki niej nie stałem się bardziej pobożnym, empatycznym, mówiąc ściślej – lepszym. Szczerze, to nawet zapomniałem o niej na jakiś czas. Raz lub dwa razy opowiedziałem ją przy okazji jakiegoś kazania świątecznego i wysłałem do „archiwum” pamięci, robiąc miejsce na kolejne niesamowite historie.

A tu nagle Angelina z redakcji „Słowo Życia” zwróciła się z pytaniem, czy nie mógłbym opowiedzieć czytelnikom o jakimś niezwykłym wydarzeniu na święta Bożego Narodzenia. I, przypominając ową właśnie historię, zgodziłem się, sam sobie się dziwiąc. † A więc było to zwykłe grodzieńskie zimowe popołudnie. Takie przedświateczne, ponieważ wigilijne. Kościół piękniał coraz bardziej, choinki pachniały lasem iglastym i świętem, kapłani biegali tu i ówdzie, żeby wyspowiadać wszystkich wiernych, a ci ostatni nieustannie krążyli wokół, nie tracąc nadziei na otrzymanie opłatka na wigilijny stół, by w tenże wieczór połamać się nim z rodziną i przyjaciółmi, składając najlepsze życzenia.

Ja zaś – brat- student, wtedy jeszcze na klerykacie – miałem praktykę duszpasterską w

naszej grodzieńskiej parafii. Tego dnia „praktykowałem” najbardziej cierpliwość i kontemplację, gdyż zadanie miałem iście świąteczne: być w zakrystii i rozdawać interesantom opłatek za drobną ofiarę. Godzina była już późna, wziętej uprzednio książki starczyło na pół godziny. W kościele robiło się jakoś zimnawo i, żeby się rozgrzać, postanowiłem trochę pozamiatać podłogę. I właśnie tu ta niezwykła historia się zaczyna.

Na ostatniej ławce w całkowicie pustej świątyni, trzymając dziecko w ramionach, siedziała dziewczyna o dość pięknym wyglądzie i płakała. Chłopczyk, jeszcze malutki, mocno otulony kocem sapał, czasami pochlipując. Odstawiwszy szczotkę, podszedłem bliżej, proponując dziewczynie przejść z dzieckiem do odrobinę cieplejszej zakrystii.

„My tu na chwilę. Poczekamy trochę w kościele. Dziękuję serdecznie!” – odpowiedziała, uśmiechając się przez łzy. Prawdopodobnie czekała na męża, ojca dziecka, ponieważ co jakiś czas patrzyła na ekran komórki. Kołysała synka i coś optymistycznego mu półszeptem śpiewała. Nie zdążyłem spytać ją o szczegóły. I jakoś było niezręcznie to robić. Za kilka minut przyszli chętni po opłatek i rozmowę parafianie, więc wróciłem do mojego bezpośredniego obowiązków.

Gdy znów zajrzałem do kościoła, dziewczyny z dzieckiem już nie było. Może zabrał ich ojciec dziecka do przytulnego i ciepłego domu? Bardzo chcę w to wierzyć.

Ale co spowodowało wtedy ten cichy, prawie bezdźwięczny płacz? Tak rozumując, pojawiła się w mej głowie zuchwała myśl: „A co jeśli?.. Jeśli to Ona pozwoliła mi w ten sposób być naocznym świadkiem swoich betlejemskich łez? Dała możliwość podsłuchać część Jezusowej kołysanki?”. Żeby było jasne – jestem chyba ostatnim kandydatem na wizjonera we wszechświecie, i jeśliby ktoś zapytał moich braci o moje zdolności mistyczno-kontemplacyjne, oni prawdopodobnie długo by się śmiali.

Ale... Po dziś dzień nie znam imienia tamtej dziewczyny i przyczyn, które zmusiły ją z synkiem na czekanie w zimnym kościele. Lecz gdzieś w głębi serca jestem przekonany, że Nowonarodzony zreżyserował to spotkanie, by uświadomić mi bardzo mocno i wyraźnie jedną rzecz: wszystko to naprawdę miało miejsce. I Zwiastowanie, i Betlejem, i ucieczka do Egiptu. Chrzt w Jordanie i wszystko, co wydarzyło się potem. To nie są omszałe historie starych księży, nie są pobożne legendy o zapachu moralizmu. To jest całkiem realna Historia, w której każdy z nas ma swój udział i swoją rolę.

Wyobraź sobie przez chwilę, jak by to było, gdyby Bóg zapukał do drzwi twego domu z prośbą o nocleg, właśnie dzisiaj, w niebezpiecznym covidowym czasie? Co by było, gdyby zwrócił się On do ciebie na ulicy, rozpoczynając rozmowę? Jeśli nieznajomy z uśmiechem od ucha do ucha wyciągnąłby do ciebie przebitą na wskroś rękę na znak pokoju podczas Mszy?

W tym momencie chciałem wierzyć, że On i Maryja są bliżej niż myślę, i znacznie bardziej realni niż mi się wydaje. Czy muszę mówić, że tamte święta Bożego Narodzenia przeżyłem trochę inaczej: nie bardziej pobożnie lub radośnie, ale napewno bardziej świadomie.

Ta historia nie ma morału, ponieważ jest tu absolutnie niepotrzebny. To jest tylko przypomnienie, że na weselu w Kanie Galilejskiej tańczono, ściany pewnego domu w Betanii pamiętały rozmowy do rana i płacz po stracie przyjaciela, a ryba, przyrządzona nad jeziorem Tyberiadzkim była soczysta i dobrze przyprawiona. Wszystko to wydarzyło się naprawdę.